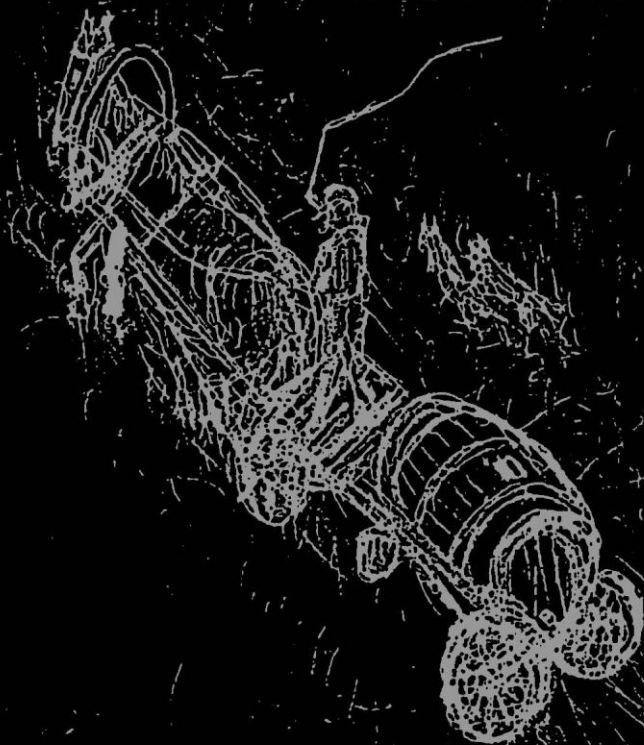


Gdzie diabeł mówi dobranoc

WSPOMNIENIA

Od Monasterzysk przez Kazachstan i Ukrainę do Wrocławia
(świadomość dziecka opisana z punktu widzenia świadomości dorosłego)

Roman Burno



Roman Burno

***GDZIE DIABEŁ MÓWI
DOBRANOC***

WSPOMNIENIA

od Monasterzysk przez Kazachstan i Ukrainę do Wrocławia

(świadomość dziecka opisana z punktu widzenia świadomości dorosłego)

© Copyright by Roman Burno & e-bookowo

Grafika na okładce: Roman Burno

Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-62480-85-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2011

*Bez względu na ocenę czasu minionego
jest naszym obowiązkiem utrwać
i dokumentować możliwie obiektywnie
wszystko, co działo się w życiu narodu.*

Antoni Słonimski

Spis treści

| | |
|----------------------------------|-----|
| GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC | 6 |
| NASZA WOJNA | 29 |
| U NAS W KOŁCHOZIE CHLEBOROB | 50 |
| PRZYSTANEK – SOWCHOZ WOROWSKIEGO | 130 |

GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC

Świat powitał mnie pod znakiem barana w 1928 roku. Stało się to w miasteczku Monasterzyska, w województwie tarnopolskim. Do mojej świadomości istnienie własne i otoczenia dotarło kilka lat później. Byłem dzieckiem niechciany, co wyznała mi kiedyś moja matka, mimo to nasze wzajemne relacje, to jest: ja – rodzice, a także: ja – i mój starszy o 18 miesięcy brat, Tadek, były bardzo dobre.

Miasteczko poznawałem od końca, to znaczy od cmentarza, blisko którego mieszkaliśmy. Tam bawiliśmy się w chowanego, z przerwami wtedy, gdy uczestniczyliśmy (oczywiście z ciekawości) w pogrzebach. Odbywały się one rzadko, ku naszemu niezadowoleniu, bo miasteczko liczyło zaledwie pięć tysięcy mieszkańców, z których tylko 1,5 do 2 tysięcy było wyznania rzymsko-katolickiego, a przy takiej liczbie natura nie mogła spełnić naszych oczekiwań.

Kiedy umarł 16-letni syn naszego sąsiada, Zbyszek, i wszyscy wokół rozpaczali, że tak młodo, dziwiliśmy się, bo dla nas był to starzec. Zresztą nasza mama, która miała bardzo dużo trafnych powiedzeń na bez mała każdą okoliczność, mawiała, że młody umrzeć może, a stary musi. Byliśmy przekonani, że zmarły należał do tych, którzy już musieli. W naszym pojęciu można było rozpaczać, bo był taki

miły, ale młody? Dziwna logika starszych do nas nie przemawiała.

Przy okazji cmentarnych penetracji poznawaliśmy przeszłość miasteczka i okolic. Wielki krzyż w centralnym miejscu upamiętniał powstańców z 1863 roku. Trzy rzędy jednakowych betonowych krzyży znaczyły groby polskich żołnierzy poległych w latach 1918-1920. W większości byli to bezimienni obrońcy ojczyzny. Mówiły o tym napisy na krzyżach. Pierwszy odczytał nam to ojciec, objaśniając przy tym pojęcie wojny, ojczyzny i bohaterskiej dla niej śmierci. Nie wiele z tego rozumiałem, ale, jak to dziecko podziwiałem mądrość ojca, a ponadto miałem argumenty w przekomarzaniu się z kolegami, który z naszych ojców jest mądrzejszy.

Grabarz, pan Komornicki przestrzegał, żebyśmy nie zapuszczali się w zarośla pod płotem, bo tam pochowani są ci, którzy umarli samobójczą śmiercią i jako wielcy grzesznicy nie byli godni spocząć wśród tych, którzy odeszli z tego świata w zgodzie z Bogiem i z naturą. Przyrzekliśmy sobie z Tadkiem, że nigdy nie popełnimy samobójstwa, bo leżenie w takim miejscu byłoby nie do zniesienia. Grozę potęgował jeszcze strach przed piekłem.

Dalszym etapem naszego poznawania świata była cegielnia. Duże wykopy po urobku gliny stanowiły znakomite kryjówki do zabaw. Urządzaliśmy też skoki do coraz to głębszych dołów. Zwłaszcza cudowne było skakanie do dołu napelnionego wymieszaną gliną, przygotowaną do formowania cegieł. Zawsze jednak kończyło się to przepędzeniem

nas z terenu cegielni i awanturą w domu z powodu wytarzania się w glinie.

Wspaniałe też były zabawy w ruinach browaru. Zewsząd wystawały tam jednak jakieś rury i blachy, ale za to były maliny i można było rozpalać ognisko.

Z czasem zaczęliśmy zataczać coraz szersze kręgi dla poznania innych części miasta i jego okolic. Sprzyjały temu niedzielne wycieczki z rodzicami na górę Podhorodne, i tam w lesie, w pobliżu kamieniołomów wapnia, biwakowaliśmy. Przed nami roztaczał się przepiękny widok. Na pierwszym planie, łagodnym łukiem omijając górę, biegła linia kolejowa. Tędy dwa razy dziennie przejeżdżały pociągi relacji Buczacz – Stanisławów i odwrotnie. Tory przecinały rzekę, rozgałęziały się na stacji i zataczając literę „S” znikaly za leżącą naprzeciw Podhorodnego górą Buczacką. Miasteczko w dole wydawało się duże, ale złożone jakby z miniaturowych domków-zabawek. Nawet kościół i dwie cerkwie nie prezentowały się z tej odległości jak na domy boże przystało, a synagogi nie odróżniały się od otaczających je domostw. Na tym tle okazała wyglądała tylko fabryka wyrobów tytoniowych, z jej strzelającym w górę kominem.

Z lasu wracaliśmy wieczorem z naręczami polnych kwiatów, a czasami z koszem grzybów.

Z bliska miasteczko wyglądało mniej ciekawie. Nawierzchnie ulic pokrywał kamienny tłuczeń, który pod stalowymi obręczami kół i podkowami koni ścierał się na unoszący się pył. Chodniki też pozostawiały wiele do życzenia. Złe wrażenie łagodziły nieco szpalery akacji, z dwóch stron

zdobiące jezdnię i tworzące miły nastrój. Wieczorem ulice oświetlało kilka lamp naftowych, przed samą wojną zmienionych na elektryczne, a centralne ulice wypełniali spacerowicze, głównie młodzież.

Gdy miałem cztery i pół roku, a Tadek sześć lat, powiększyła nam się rodzina. Tuż przed jej powiększeniem mama zapowiadała, że niebawem bocian przyniesie nam dziewczynkę lub chłopczyka. Chodziliśmy do sąsiadów i prosiliśmy znajdujące się w gnieździe na ich domu bociany, aby przyniosły nam braciszka, bo siostrzyczki nie chcemy i jeżeli przyniosą dziewczynkę, to ją zabijemy. Gdy po narodzinach dziecka sąsiadka zażartowała, że bocian nas nie wysłuchał i przyniósł dziewczynkę, postanowiliśmy tę groźbę spełnić. Kiedy mama była zajęta w kuchni, Tadek przystąpił do egzekucji, uderzając dziecko pięścią w nos. Małe zanosło się płaczem, wpadła do pokoju mama, a my solidarnie przyznaliśmy się do urzeczywistnienia naszego zamiaru. Matka w przyływie złości wymierzyła nam po kilka tęgich razów, po czym rozwinęła maleństwo z pieluch i kazała nam obnażyć się dla dokonania porównań. Nie dostrzegliśmy wielkich różnic i przyjęliśmy Ryśka do naszego grona. Nowa sytuacja rodzinna stała się dla Tadka i dla mnie nieco korzystniejsza, gdyż mama, zajęta Ryśkiem, miała mniej czasu dla nas, a my zyskaliśmy więcej swobody, której nam zawsze brakowało.

Wkrótce jednak liczba uczestników wspólnych zabaw zubożała o Tadka. O, nie, nic strasznego się nie wydarzyło, po prostu poszedł do pierwszej klasy szkoły powszechnej. Zazdrościłem mu wszystkiego, co wiązało się ze szkołą, oczy-

wiecie poza rannym wstawaniem. Ciągłe nudziłem rodziców, aby mnie również wysłali do szkoły. Obiecano mi, że na przyszły rok na pewno pójdę. Okazało się, że to nie takie łatwe, brakowało mi jednego roku życia, ale bliska zażyłość ojca z kierownikiem szkoły doprowadziła do pokonania formalnych trudności.

Zaczął się dla mnie nowy etap dzieciństwa – wszedłem w wiek szkolny. Pierwsze klasy były koedukacyjne, ale to nie miało żadnego znaczenia, poza jednym drobiazgiem. Była w klasie herod-dziewczyzna, która chętnie popisywała się swoją siłą, tłamsząc każdego, kto się znalazł w zasięgu jej rąk. Kuksańce, jakimi szczerze nas obdzielała nie były bolesne, ale przynosiły ujmę chłopięcej dumie.

Pani Pogorzelska, nasza wychowawczyni wyraźnie faworyzowała dziewczęta. My musieliśmy siedzieć w ławkach jak trusie, a im pozwalała na dużą swobodę. Każde wykroczenie było karane biciem linijką w otwartą dłoń. W zależności od wykroczenia można było dostać trzy do pięciu razów. Szczerze jej nienawidziliśmy. Ja nigdy nie oberwałem, chociaż zdarzyło się raz, że bardzo boleśnie wbiła mi długie paznokcie w ramię.

Z nauką nie miałem żadnych trudności. Byłem raczej pilnym uczniem, chociaż niczym szczególnym, gdy chodzi o naukę, się nie wyróżniałem. Bardzo ciążyła mi moja inność. Miałem jasnozłoty kolor włosów i byłem cały pokryty piegami. To dawało pretekst do złośliwych uwag w rodzaju: *rudy do budy, rudzielec, piegacz*. Nie należałem do najsilniejszych. Byłem w klasie najmłodszy, stąd nie mogłem so-

bie pozwolić na fizyczny odwet, bo tylko taki mógłby być skuteczny. Musiałem cierpliwie znosić zniewagi, obiecując krwawą zemstę w przyszłości.

Naszą edukację oprócz szkoły dopełniali rodzice, a także Kościół – każde na swój sposób. Rodzice nie szczędzili nam pouczeń i przykładów. Ojciec – patriotycznych, mama – głównie rodzinnych i religijnych. Stąd wyniosłem szczerą miłość do marszałka Józefa Piłsudskiego i na zawsze utrwalone przeświadczenie o Jego wielkości. Cieszyłem się, że Wielki Ziuk stoi w naszym domu w postaci połączanej figury, wsparty ręką na głowie orła i stale jest z nami. Nie odstępuje też od nas w szkole, tutaj z portretu zawieszono w klasie patrzy na mnie i wie, że go nie zawiodę. Kiedy jeden z moich kolegów wyrecytował dwuwiersz: „pan Sobieski je..ł pieski / pan Piłsudski je..ł suczki”, popędziłem na posterunek policji i poskarżyłem. Oczywiście policjant, jak mówił później mój ojciec, zignorował zdarzenie, traktując to jako głupią dziecięcą rymowanąkę. Ja jednak uznałem, że spełniłem swój patriotyczny obowiązek. I kiedy w maju Marszałek zmarł, z przejęciem śpiewałem żałobną okolicznościową pieśń: „To nieprawda, że Ciebie już nie ma. To nieprawda, że jesteś już w grobie...”. Całe moje oddanie Marszałkowi było zasługą ojca.

Mama natomiast przekazywała nam bezpośrednie relacje swojego dziadka, Władysława Trumpiela, o prześladowaniu na Wileńszczyźnie Polaków-katolików przez władze carskie po powstaniu Styczniowym. Otóż do miejscowości Jody w powiecie brasławskim zjechała sotnia kozaków i siłą zmuszała wiernych wyznania rzymskokatolickiego do przejścia

na prawosławie. Na uległych oczekiwał przybyły z Kozakami pop, gotowy dokonać przechrzczenia. Nikt jednak nie chciał wyrzec się wiary swoich przodków. Kozacy zaczęli więc wymierzać chłostę, ale i to nie pomogło. Wtedy wszystkich razem związano i popędzono do Dżisny. Tam w koszarach zainscenizowano egzekucje. Wybrano jednego z nich i kazano mu położyć głowę pod topór katowski. Skazaniec przed położeniem głowy zwrócił się do pozostałych, aby, tak jak on, oddali swoje życie za wiarę. Tylko jeden spośród czterdziestu się poddał. Egzekucji jednak nie przeprowadzono. Każdemu wymierzono po sto batów i zwolniono. Wiedza o tym budowała moją świadomość patriotyczno-religijną.

Gdy ukończyłem pierwszą klasę, wybraliśmy się na wakacje do babci, do Jod, w województwie wileńskim, na drugi kraniec Polski, a jak twierdził ojciec: na koniec świata, gdzie diabeł mówi dobranoc. Właśnie dlatego wszystko zapowiadało się fascynująco. Była to cała wyprawa. Niezliczona ilość walizek czyniła z każdej przesiadki istną katorgę, podróż jednak była ciekawa. Wiele kłopotów przysparzał nam czteroletni wówczas Rysiek. Ciągle marudził, zanosił się płaczem. Nie wiadomo, czego chciał. Wtedy najwyraźniej mieliśmy go dość.

Zatrzymaliśmy się na jeden dzień w Wilnie. Pierwsze kroki mama skierowała przed ołtarz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Następnie poszliśmy do parku nad Wilię. Po wodzie, dumnie unosząc głowy, majestatycznie płynęły łabędzie. Była to dla nas niebываła okazja do popisów strzeleckich. Poszły w ruch proce i w kierunku łabędzi poleciały kamyki. Jak spod ziemi wynurzył się policjant, zabrał proce,

zaprowadził do mamy (na moment spuściła nas z oczu, zajęta Ryśkiem) i chciał wymierzyć grzywnę. Skończyło się na naszym przyrzeczeniu poprawy i matczynym zapewnieniu lepszego doglądania nas. Mama swoją obietnicę spełniła natychmiast nakręcając nam uszu. Nie mogliśmy przeboleć utraty proc, bo było jeszcze wiele okazji do zademonstrowania naszych strzeleckich umiejętności. Chwilowo wyciszeni zaszliśmy do katedry, gdzie wśród wieńców na postumencie stała urna z sercem Marszałka. Szczerze modliłem się za Jego duszę, czułem Jego bliskość i ponownie przeżywałem Jego śmierć.

Na docelowej stacji czekała na nas bryczka, zaprzężona w dorodnego ogiera, a przy niej wujek matki, powszechnie nazywany, *diad`ka Żerabiec*. Po bezdrożach, piaszczystych duktach mknęliśmy, rozkoszując się gęstwiną borów, jakich dotąd nie widzieliśmy. Zapowiadało się nadzwyczajnie. Wujek coś opowiadał, ale niewiele z tego rozumieliśmy, bo zagłuszał wiatr i parskanie konia, a poza tym mówił wtrącając wiele słów białoruskich, których nie rozumieliśmy. Po godzinie jazdy znaleźliśmy się w objęciach babci, cioć, wujka Pieci i innych krewnych, o których istnieniu dotąd nie mieliśmy zielonego pojęcia. Tutaj wszystko było inne. Domy z grubych bali, kryte słomą, stodoła ze spadającym do ziemi dachem. Byliśmy zachwyceni. Przyszło kilkoro dzieci z sąsiedztwa i natychmiast zaprzyjaźniliśmy się z nimi.

Pamiętając powiedzenie ojca, że jedziemy na koniec świata, spytaliśmy wujka jak daleko do tego końca? Wujek wskazał ręką las i powiedział: za tym lasem. Toteż za kilka dni, korzystając z nieuwagi dorosłych, wybraliśmy się tam.



Roman BURNO urodził się w 1928 roku w kresowym miasteczku Monasterzyska w województwie tarnopolskim. Wielokulturowość miejscowej społeczności, starszeństwo brata, pełnienie funkcji policjanta przez ojca miały istotny wpływ na kształtowanie od najmłodszych lat postzegania przez dziecko świata. W wieku 6 lat rozpoczął naukę w szkole powszechnej, której 5 klas ukończył w roku wybuchu drugiej wojny światowej. Lata wojenne przeżył na zsyłce w północnym Kazachstanie, gdzie najpierw jako dziecko spędzał czas z rówieśnikami, dziećmi kolchoźników, a następnie jako nieletni zmuszony był do prac rolnych w kolchozie i sowchozie. Po powrocie do Polski zdobył średnie wykształcenie zawodowe, a następnie ukończył studia inżynierskie na Politechnice Wrocławskiej i Inżynieryjno-Ekonomiczne na Politechnice Warszawskiej. Od 1956 roku pracował w różnych przedsiębiorstwach przemysłu maszynowego oraz w Instytucie Organizacji. Pracę zawodową przed pójściem na emeryturę skończył na stanowisku doradcy w Urzędzie Rady Ministrów. Pędząc żywot emeryta jeszcze przez 10 lat pracował w firmach doradczych i handlowych.